



Halt i Will podążali tropem wargalów już od trzech dni. Niedawno widziano, jak cztery zwałiste, gruboskórne stwory, oddane zbuntowanemu wielmoży, Morgarathowi, przemierzały tereny lenna Redmont, kierując się na północ. Gdy wieść o tym dotarła do zwiadowcy, natychmiast ruszył za nimi wraz ze swym młodym czeladnikiem, aby przeciąć im drogę.

– Skąd oni się tu wzięli? – spytał Will podczas jednego z krótkich postojów. – Przecież teraz Wąwóz Trzech Kroków jest chyba naprawdę dobrze strzeżony?

Było to jedyne dostępne przejście łączące królestwo Araluen i płaskowyż, na którym wznosiły się Góry Deszczu i Nocy, gdzie mieściła się siedziba Morgaratha. Króle-

stwo przygotowywało się do nadchodzącej wojny z Morgarathem, toteż niezbyt liczny stały garnizon pilnujący wąskiego przesmyku został wzmocniony kompanią piechoty i łuczników.

– Owszem, w większej liczbie mógłby przejść tylko tamtędy – przyznał Halt – ale tak mały patrol zapewne zdołał przekraść się na teren królestwa drogą przez urwiska.

Górzysty płaskowyż, który stał się miejscem wygnania Morgaratha, wznosił się wysoko nad południowymi krańcami królestwa. Od Wąwozu Trzech Kroków na wschodzie aż ku zachodowi ciągnęły się przepastne urwiska, tworząc naturalną granicę między płaskowyżem i Araluenem. Dalej linia ich skręcała na południowy zachód, przechodząc w kolejną nieprzebytą przeszkodę zwaną Rozpadliną – była to ogromna szczelina biegnąca aż do morza i dzieląca krainę Morgaratha od królestwa Celtów.

Przez ostatnich szesnaście lat właśnie te naturalne fortyfikacje chroniły Araluen i sąsiednią Celtię przed najezdami Morgaratha. Jeśli jednak spojrzeć na to z drugiej strony, zapewniały buntownikowi ochronę przed siłami Araluenu.

– Sądziłem, że te urwiska są przeszkodą nie do przebycia – zdziwił się Will.

Halt pozwolił sobie na ponury uśmiech.

– Nie ma przeszkód, których nie dałoby się pokonać. Zwłaszcza jeśli ktoś mało dba o to, jakie straty poniosą wykonawcy jego rozkazów. Przypuszczam, że spuścili się na linach lub zeszli po drabinach sznurowych którejś bezksiężycowej nocy, przy złej pogodzie. Tym sposobem zdołali ominąć nasze straże graniczne.

Wstał, dając tym samym do zrozumienia, że postój dobiegł końca. Will uniósł się również, ramię w ramię podeszli do koni. Wskakując na siodło, Halt stęknął cicho. Rana, jaką odniósł podczas starcia z kalkarami, wciąż jeszcze dokuczała mu nieco.

– Mniej mnie obchodzi, jak się tu dostali – ciągnął.
– Idzie o to, dokąd zmierzają i jakie mają zamiary.

Ledwo wymówił te słowa, gdy usłyszeli przed sobą głośny okrzyk, potem jakieś dziwne pomruki, a następnie szcęk broni.

– A tego być może zaraz się dowiemy! – dokończył Halt.

Puścił się galopem, kierując konikiem za pomocą kolan, gdy tymczasem jego ręce napięły potężny długi łuk. Will galopował tuż za nim, ale umiejętnościami jeździeckimi nie dorównywał Haltowi – prawą ręką trzymał wodze, w lewej dzierżył swój własny łuk.

Jechali przez rzadki las, pozostawiając troskę o wybór drogi swoim wierzchowcom. Nagle wypadli na szeroką polanę. Wstrzymany przez swego pana Abelard stanął jak wryty, Wyrwij tuż obok niego. Will wypuścił z dłoni wodze i błyskawicznie sięgnął do kołczanu po strzałę.

Pośrodku otwartej przestrzeni rósł spory figowiec. U jego stóp znajdowało się małe obozowisko. Z ogniska wznosiła się jeszcze smużka dymu, obok leżał tobołek i koc. Czterech wargalów, których śladami podążali, otoczyło samotnego mężczyznę, opierającego się plecami o pień drzewa. Na razie jego długi miecz trzymał napastników na dystans, lecz wargalowie nie dawali za wygraną, czekając na najmniejszy błąd i wypatrując luki w szermierczych zasłonach ofiary. Uzbrojeni byli w krót-

kie miecze i topory, a jeden z nich miał ciężką żelazną włócznię.

Na widok stworów Willowi zaparło dech w piersiach. Pościg trwał długo, a teraz nagle i niespodziewanie ujrzał ich na własne oczy. Byli potężnie zbudowani, mieli długie ryje i wielkie żółte kły, które szczyrzyli teraz, czając się na swą ofiarę. Porośnięci byli kudłatym futrem, a prócz tego nosili zbroje z czarnej skóry. Mężczyzna odziany był podobnie. Odpierał ich ataki, ale gdy krzyknął, w jego głosie słychać było strach:

– Cofnąć się! Spełniam misję na polecenie lorda Morgaratha. Cofnąć się, to rozkaz! Rozkazuję wam w imieniu lorda Morgaratha!

Halt na grzbiecie Abelarda podjechał kilka kroków w ich stronę, by móc lepiej celować.

– Rzucić broń! Wszyscy! – zakrzyknął. Pięć par oczu skierowało się ku niemu, czterej wargalowie i ich ofiara byli najwyraźniej zaskoczeni. Napastnik uzbrojony we włócznię pierwszy odzyskał przytomność umysłu. Zorientował się, że widok jeźdźca osłabił czujność mężczyzny uzbrojonego w miecz, zrobił wypad i wbił włócznię w jego ciało. W następnej sekundzie strzała Halta przeszła jego serce i napastnik padł martwy obok swej ofiary. Mężczyzna opadał jeszcze na kolana, gdy pozostali wargalowie ruszyli w stronę zwiadowców.

Pomimo niedźwiedziowatej postury poruszali się niewiarygodnie szybko.

Druga strzała Halta powaliła wargala szarżującego z lewej strony. Will strzelił do stwora biegnącego z prawej i natychmiast zdał sobie sprawę, że nie docenił prędkości, z jaką poruszała się bestia. Strzała ze świstem przele-

ciała tam, gdzie wargal znajdował się o ułamek sekundy wcześniej. Chłopak błyskawicznie dobył następnej strzały i usłyszał ochryply jęk bólu, gdy trzecia strzała Halta utkwiała w piersi środkowego napastnika. Will wypuścił drugą strzałę, celując do ostatniego z wargalów, który był już zatrwająco blisko.

Przerażony widokiem dzikich oczu i żółtych kłów, zbyt pospiesznie zwolnił cięciwę. Jego strzała nie miała żadnej szansy, by trafić wargala, który niemal już go dopadał.

Napastnik wydał z siebie triumfalny charkot, ale wówczas niespodziewanie Wyrwij ruszył na pomoc swemu panu. Konik zarżał i stanął dęba, młócąc przednimi kopytami. Zamiast cofnąć się przed straszliwym stworem, wybiegł do przodu na jego spotkanie. Zaskoczony Will chwycił się lęku siodła.

Wargal był równie zdezorientowany. Podobnie jak wszyscy jego pobratymcy, żywił zabobonny lęk przed końmi – lęk, który narodził się podczas bitwy na Wrzosowiskach Hackham Heath przed szesnastoma laty, kiedy to pierwsza armia wargalów Morgaratha została zdiełsiątkowana przez aralueńską kawalerię. Na swoją zgubę wargal zawahał się i postąpił krok do tyłu, by uniknąć kopyt tłukących powietrze.

Czwarta strzała Halta trafiła go w szyję. Odległość była tak niewielka, że przebiła ją na wylot. Wargal wydał śmiertelny wrzask i runął martwy na trawę.

Błady jak ściana Will zsunął się z końskiego grzbietu, kolana się pod nim ugięły. Musiał przytrzymać się boku Wyrwija, by nie upaść. Halt szybko zeskoczył z siodła i stanął obok chłopca, obejmując go ramieniem.

– Już dobrze, Willu – głęboki głos zwiadowcy przebił się przez strach, który ogarnął umysł chłopca. – Już po wszystkim.

Ale Will był w stanie tylko potrząsnąć głową, wciąż przerażony sceną, która dopiero co się rozegrała.

– Halt... chybiłem... i to dwa razy! Straciłem głowę i chybiłem! – Było mu wstyd, że tak haniebnie zawiódł swego nauczyciela. Poczuł, że ramię Halta obejmuje go mocniej, uniósł twarz, by spojrzeć w brodate oblicze mistrza i jego ciemne, głęboko osadzone oczy.

– Inną jest rzeczą strzelać do tarczy, a inną do szarżującego wargala. Tarcza zazwyczaj nie próbuje cię zabić. – To ostatnie zdanie Halt wypowiedział znacznie łagodniejszym tonem. Zdał sobie sprawę, że Will przeszedł wstrząs. I nic dziwnego – przyznał w duchu.

– Ale ja... chybiłem...

– I to będzie dla ciebie nauzką. Następnym razem nie chybisz. Wiesz już teraz, że lepiej oddać jeden dobry strzał niż dwa w pośpiechu – stwierdził stanowczo Halt, po czym ujął Willa za ramię i odwrócił go w stronę obozowiska pod figowcem. – Chodź, zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć o tym człowieku – rzekł, kładąc w ten sposób kres rozmowie o niepowodzeniu Willa.

Odziany na czarno mężczyzna i wargal leżeli martwi obok siebie. Halt przyklęknął, by odwrócić człowieka twarzą do góry. Gwizdnął cicho ze zdumienia.

– To Dirk Reacher – stwierdził, na poły do siebie. – Ostatnia osoba, którą spodziewałbym się tu ujrzeć.

– Znałeś go? – spytał Will. Nieokiełznana ciekawość sprawiła, że zgodnie z przewidywaniami Halta groza dopiero co minionych chwil zaczęła się oddalać.

– Osobiście wygnałem go z królestwa pięć czy sześć lat temu – wyjaśnił zwiadowca. – Był tchórzem i mordercą. Zdezercerował, a potem przystał do Morgaratha – umilkł na chwilę. – Morgarath ma szczególną zdolność przyciągania ku sobie takich właśnie ludzi. Tylko czego on tu szukał...?

– Wołał, że pełni jakąś misję dla Morgaratha – przypomniał Will, ale Halt pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Wargalowie ścigali go, a tylko sam Morgarath mógłby im to nakazać, tego zaś by nie uczynił, gdyby Reacher nadal był na jego usługach. Przypuszczam, że znów zdradził. Porzucił Morgaratha, który wysłał wargalów w ślad za nim.

– Dlaczego? – zdziwił się Will. – To znaczy, dlaczego miałby znów zdezercerować?

Halt wzruszył ramionami.

– Nadchodzi wojna. Ludzie tacy jak Dirk raczej starają się unikać podobnych nieprzyjemności.

Sięgnął po tobołek leżący obok ogniska i zaczął w nim grzebać.

– Szukasz czegoś szczególnego? – zainteresował się Will. Halt zmarszczył brwi; wyraźnie znudziło mu się przeszukiwanie pakunku i po prostu wysypał całą jego zawartość na ziemię.

– No cóż, coś mi mówi, że jeśli Dirk zdradził Morgaratha i zamierzał wrócić do Araluenu, wystarałby się o jakiś fant, którym okupiłby swoją wolność. Tak więc... – urwał w pół zdania, bo dostrzegł starannie złożony pergamin leżący pośród ubrań na zmianę i przyborów do jedzenia. Przejrzał pospiesznie dokument i uniósł lekko jedną brew. Will, który spędził u boku zwiadowcy

już niemal rok, wiedział, że oznaczało to coś na kształt zdumionego okrzyku, jaki wydałby z siebie ktokolwiek inny na miejscu jego mistrza. Wiedział też, że jeśli będzie próbował przerwać Haltowi, nim ten skończy czytać, zwiadowca po prostu go zignoruje. Odczekał więc, aż Halt złożył pergamin, wstał powoli, spojrzął na swego ucznia i dostrzegł naglące pytanie w jego oczach.

– Coś ważnego? – upewnił się Will.

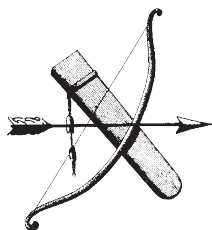
– Można powiedzieć, że tak – stwierdził chłodno Halt.

– Chyba wpadły nam w ręce plany Morgaratha dotyczące zbliżającej się wojny. Pewnie dobrze byłoby je zawieźć do Redmont.

Gwizdnął cicho, a Abelard i Wyrwij podbiegły truchtem do swych panów.

Tymczasem w odległości kilkuset metrów czaił się intruz, który wybrał swą kryjówkę niezwykle starannie, mając na uwadze nawet kierunek wiatru, by koniki zwiadowców nie wyczuły jego obecności. Wróg upewnił się, że Halt i jego uczeń, którzy dosiedli wierzchowców, opuścili łąkę, scenę niewielkiej bitwy, która tu się rozegrała – a potem wyszedł z ukrycia i zwrócił się na południe, ku przepastnym urwiskom.

Czas powiadomić Morgaratha, że jego plan się powiódł.





ROZDZIAŁ

Dochodziła północ, gdy samotny jeździec ściągnął wodze swojego wierzchowca przed chatką ukrytą pośród drzew nieopodal Zamku Redmont. Juczny konik, którego prowadził za sobą, także się zatrzymał. Jeździec, wysoki mężczyzna, którego ruchy znamionowała gibkość właściwa młodemu wiekowi, zeskoczył z siodła i wszedł na wąski ganek, schylając się, by nie zawadzić głową o niski okap. Z przylegającej do domu stajni rozległo się ciche rzenie, na które jego własny koń podniósł głowę i odpowiedział podobnym powitaniem.

Przybysz uniósł dłoń, by zapukać do drzwi, kiedy dostrzegł błysk światła za zasłoniętym oknem. Zawahał się. Światło przemierzyło wnętrze pokoju i odezwał się głos:

– Witaj, Gilanie – drzwi stanęły otworem. – Co cię tu sprowadza? – odezwał się Halt.

Młody zwiadowca zaśmiał się z niedowierzaniem na widok swojego dawnego mistrza.

– Halt, jak ty to robisz? – zdumiał się. – Skąd zanim jeszcze otworzyłeś drzwi, mogłeś wiedzieć, że to właśnie ja przyjechałem w środku nocy?

Halt wzruszył ramionami, dając Gilanowi znak, by wszedł do środka. Zamknął za nim drzwi, przeszedł do schludnie urządzonej kuchni, otworzył drzwiczki pieca i dorzucił drewno do przygasającego już ognia. Postawił miedziany czajnik na blasze, potrząsnawszy nim uprzednio, by upewnić się, że wewnątrz jest dość wody.

– Kilka minut temu usłyszałem tętent twojego konia – wyjaśnił. – A potem odezwał się Abelard. Rzy w ten sposób tylko na powitanie któregoś z koni zwiadowców – dodał i wzruszył ramionami. Miało to oznaczać, że odpowiedź na pytanie Gilana jest tak prosta, że nie warto poświęcać jej więcej czasu. Gilan zaśmiał się znowu.

– Zapewne – przyznał – tylko że mógł to być którykolwiek z nas, zwiadowców. A jest nas około pięćdziesięciu, nieprawdaż?

Halt przechylił głowę na bok, spoglądając z politowaniem na swego dawnego ucznia.

– Gilanie, kiedy jeszcze usiłowałem cię czegoś nauczyć, słyszałem twoje kroki na tym ganku tysiące razy. Uwierz, że nadal jestem w stanie je rozpoznać.

Młodszy zwiadowca rozłożył bezradnie ręce w geście poddania. Rozpiął klamrę płaszcza i przerzucił go przez oparcie krzesła. Podszedł bliżej do pieca. Noc była chłodna, toteż nie mógł już się doczekać, kiedy skosztuje go-

rażącego napoju przyrządzonego przez Halt. Skrzypnęły drzwi pokoju na tyłach domu i pojawił się Will, który najwyraźniej w pośpiechu narzucił ubranie na koszulę nocną. Miał potargane włosy i wyglądał na zaspanego.

– Witaj, Gilanie – rzucił niedbale. – Co cię do nas sprowadza?

Gilan załamał ręce w żartobliwym geście:

– Doprawdy, czy moje niespodziewane pojawienie się w środku nocy nie jest tu dla nikogo zaskoczeniem? – spytał.

Zajęty przy piecu Halt odwrócił się, by ukryć uśmiech. Kilka minut wcześniej słyszał, jak Will rzucił się do okna na dźwięk końskich kopyt zbliżających się do chaty. Widocznie Will podsłuchiwał rozmowę Halt z Gilanem i postanowił również popisać się stoickim spokojem wobec niespodziewanego gościa. Znając Willa, Halt był pewien, że chłopak wprost płonie z ciekawości i dałby wszystko, żeby poznać przyczynę tej niespodziewanej wizyty, toteż postanowił zabawić się nieco jego kosztem.

– Już późno, Willu – oznajmił. – Wracaj lepiej do łóżka. Jutro czeka nas pracowity dzień.

Nonszalancja Willa ulotniła się bez śladu, a na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego rozczarowania. Ton w głosie mistrza oznaczał wyraźne polecenie, a on przecież tak bardzo pragnął poznać przyczynę odwiedzin Gilana o tak niezwyklej porze.

– Halt, proszę! – zawołał chłopiec. – Chciałbym wiedzieć, o co chodzi!

Halt i Gilan wymienili rozbawione spojrzenia. Will tymczasem dosłownie przestępował z nogi na nogę w nadziei, że Halt zmieni jednak zdanie i nie każe mu iść

spać. Zwiadowca z kamienną twarzą postawił trzy kubki na kuchennym stole.

– W takim razie dobrze się składa, że pomyślałem też o tobie, prawda? – zauważył, a Will dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że dał się nabrać. Wyszczерzył zęby w uśmiechu i usiadł przy stole.

– Skoro to już sobie wyjaśniliśmy, może zechcesz, Gilanie, wyjawic przyczynę twych niespodziewanych odwiedzin – nim mój uczeń pęknie z ciekawości?

– Chodzi o te plany Morgaratha, które przejąłeś w zeszłym tygodniu. Skoro teraz wiemy, co wróg zamierza uczynić, król pragnie zgromadzić całą armię na równinie Uthal przed następnym nowiem. Skoro Morgarath zamierza przebić się przez Wąwóz Trzech Kroków, musimy być gotowi.

Zdobyty dokument rzeczywiście zawierał bezcenne informacje. Według planu Morgaratha pięciuset skandyjskich najemników miało przedrzeć się przez bagniste mokradła i zaatakować od tyłu aralueński garnizon, strzegący Wąwozu Trzech Kroków. Nawet gdyby nie uwzględnić elementu zaskoczenia, napaść z tej strony była o wiele łatwiejsza, toteż obrońcy Wąwozu nie mieli żadnych szans wobec tak znacznej przewagi nieprzyjaciela. W krótkim czasie przed głównymi siłami Morgaratha droga stałaby otworem i wargalowie weszliby na równiny, mogąc bez przeszkód rozwinąć szlak bojowy.

– Tak więc Duncan zamierza odpowiedzieć zaskoczeniem na próbę zaskoczenia – skonstatował Halt, z wolna kiwając głową. – Dobre myślenie. W ten sposób przejmujemy kontrolę nad polem bitwy.

Teraz Will również skinął głową i stwierdził równie poważnym głosem:

– I dopadniemy wojska Morgaratha uwięzione w przełęczy.

Gilan odwrócił się nieco, by ukryć uśmiech. Zastanowił się przez chwilę, czy on również w swoim czasie próbował naśladować sposób zachowania Halt, gdy był jeszcze jego uczniem. Miał wrażenie, że raczej... tak.

– Wręcz przeciwnie – sprostował. – Gdy tylko jego wojsko rozpocznie natarcie, Duncan zamierza się wycofać na z góry upatrzone stanowiska i pozwolić Morgarathowi rozwinąć szyk na równinach.

– Chce go wpuścić? – Will był tak zdziwiony, że aż zaczął mówić piskliwym głosem. – Czy król oszalał? Dlaczego mielibyśmy...

Zdał sobie sprawę, że obaj zwiadowcy spoglądają na niego w szczególny sposób; Halt z uniesioną brwią, a Gilan z dziwnym uśmiechem na ustach.

– To znaczy... – zawahał się, przyszło mu bowiem poniewczasie do głowy, że wątplenie w pełnię władz umysłowych króla może zostać uznane za obrazę majestatu. – Nie chciałem powiedzieć niczego złego. Chodzi mi tylko o to...

– Och, jestem pewien, że król nie poczułby się urażony, słysząc, jak jakiś nędzny czeladnik pomawia go o szaleństwo – zauważył Halt. – Królowie wprost uwielbiają, kiedy w ten sposób przywoływać ich do rozumu.

– Ale... pozwolić mu wejść na nasz teren? Po tylu latach? To przecież... – chciał już powiedzieć „szaleństwo”, ale w porę ugryzł się w język. Pamiętał jednak doskonale niedawne spotkanie z wargalami. Myśl o tym,

że tysiące takich stworów miałyby bez przeszkód przebyć Wąwóz, mroziła mu krew w żyłach.

Pierwszy odpowiedział Halt:

– Oto właśnie chodzi, Willu. „Po tylu latach”. Minęło szesnaście lat, a my wciąż musimy strzec się Morgaratha, bezustannie próbujemy odgadnąć, co knuje. Przez cały ten czas nasze siły związane są przy granicach, bo muszą pilnować urwisk i pilnie strzec Wąwozu Trzech Kroków. Przez cały ten czas inicjatywa pozostaje w jego rękach, to od jego zachcianki zależy, kiedy, gdzie i jak zaatakuje. Ostatnim przykładem były kalkary, o czym wiesz akurat lepiej niż ktokolwiek inny.

Gilan spoglądał z podziwem na swojego byłego mistrza. Halt w mgnieniu oka pojął, co kryje się za planem króla. Oto kolejny dowód – prócz wielu poprzednich – że władca postępuje słusznie, uważając Halta za jednego ze swych najbardziej zaufanych doradców.

– Halt ma słuszość, Willu – odezwał się. – Jest jeszcze inna przyczyna. Po tych szesnastu latach względnego spokoju zaczynamy popadać w gnuśność. Nie, nie my, nie zwiadowcy. Ale z pewnością wieśniacy, spośród których rekrutują się przecież nasi żołnierze, a nawet i niektórzy baronowie czy rycerze z odległych lenn położonych na północy.

– Widziałeś na własne oczy, z jaką niechęcią niektórzy wieśniacy porzucają swe gospodarstwa, żeby wyruszyć na wojnę – wtrącił Halt. Will w milczeniu skinął głową. Rzeczywiście, ostatni tydzień spędzili wraz z Haltem na wędrowce po wsiach na terenie baronii Redmont. Dokonywali poboru, bowiem to właśnie chłopci stanowili trzon armii. Niejednokrotnie spotkali się z otwar-

cie wrogim przyjęciem – choć wrogość ta ustępowała, kiedy Halt kładł na szalę całą siłę swej osobowości i aurytety.

– Otóż zdaniem króla Duncana nadszedł czas, by załatwić tę sprawę raz na zawsze – ciągnął dalej Gilan. – Teraz jesteśmy u szczytu potęgi i sił nam już nie przybędzie; z czasem bezczynność może nas przyprawić co najwyżej o ich utratę. Tak więc oto nadarza się okazja, by uporać się z Morgarathem na dobre.

– Wszystko to jednak nie przybliży nas do odpowiedzi na moje pierwsze pytanie – zauważył Halt. – Cóż sprowadza cię tutaj o tak dziwnej porze?

– Rozkazy Crowleya – odparł krótko Gilan. Położył rulon pergaminu przed Haltem, który rzuciwszy mu pytające spojrzenie, rozwinął pismo i przeczytał je. Will wiedział, że Crowley jest dowódcą wszystkich zwiadowców, najstarszym rangą z całego korpusu. Halt skończył czytać, a następnie starannie zwinął pergamin.

– Jedziesz więc z poselstwem do króla Celtów, Swydneda – stwierdził. – Domyślam się, że po to, by powołać się na traktat o wzajemnej pomocy, który Duncan zawarł z nim kilka lat temu?

Gilan skinął głową, delektując się kolejnym łykiem rozgrzewającego napoju.

– Król uważa, że potrzebne nam będą wszelkie siły, jakie zdołamy zgromadzić.

Halt w zamyśleniu pokiwał głową.

– Trudno się z nim nie zgodzić – rzekł powoli. – Ale...? – Rozłożył ręce w pytającym geście. Przecież skoro Gilan miał jechać z poselstwem do Celtów, im prędzej tam się znajdzie, tym lepiej – zdawał się przez to mówić.

– Otóż – rzekł z naciskiem Gilan – jest to oficjalne posłannictwo do Celtii. – Słowo „oficjalne” wymówił szczególnie dobitnie, a Halt zrozumiał go w mgnieniu oka.

– Oczywiście – kiwnął głową. – Prastare celtyckie tradycje.

– Rzekłbym raczej, że przesady – burknął Gilan. – Jeśli o mnie chodzi, oznacza to po prostu karygodną stratę czasu.

– Jasne, jasne – zgodził się Halt. – Skoro jednak Celtowie obstają przy tych zwyczajach, co innego możesz zrobić?

Will spoglądał na nich z niepokojem. Najwidoczniej obaj zwiadowcy rozumieli się doskonale, ale Will pojmował z tego tyle, co gdyby rozmawiali ze sobą po hiszpańsku.

– Zazwyczaj, kiedy czasy są spokojne, nie zwracamy na to uwagi – powiedział Gilan. – Jednak wobec wszystkich przygotowań, jakich wymaga nadchodząca wojna, jest tyle pracy, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Po prostu potrzebny jest każdy z nas. Tak więc Crowley doszedł do wniosku...

– Chyba wiem, do jakiego – przerwał mu Halt i właśnie w tym momencie Will już nie wytrzymał.

– A ja nie! – wybuchnął. – O czym wy obaj mówicie? Niby gadacie po aralueńsku, a nie w jakimś obcym języku, ale ja i tak nie mogę się w waszych słowach dopatrzeć żadnego sensu!